

Od autora: opowiadanie

Urodziłam się dziesięć dni przed ogłoszeniem stanu wojennego. Matka wspominała, że ojciec pił przez cały grudzień i nie było z niego żadnego pożytku. Najpierw z radości, potem ze smutku, przeklinając Ruskich i generała. Gdy trochę podrosłam nie rozumiałam, dlaczego ojciec go tak nie lubił. Jaruzelski mówił powoli i nigdy się nie złościł, za to kiedy mojego rodziciela coś zdenerwowało, z prędkością światła wypływał z niego słowotok. Raz tak nim zatrzepała złość, że przyłączył się do strajku i nie wyjeżdżał na górę z kopalni.

Strajkował, ale krótko. Podobno wszyscy podpisali, więc i on podpisał. Nie wiedziałam, o jakie podpisy chodziło, ale cieszyłam się, bo nie przyniósł mi wstydu jak ojciec Marcina, który zamiast nazwiska postawił krzyżyk, wyrażając tym samym zgodę na wyjazd syna ze szkolnym zespołem do Pszczyny. Marcin grał na trójkacie i dzięki niemu trzymaliśmy rytm, więc musiał pojechać. Tak przynajmniej twierdziła pani od muzyki.

Matka ucieszyła się z podpisu ojca, stwierdzając, że kupią nowe meble do mojego pokoju. Faktycznie. Za niecały miesiąc dostałam składane łóżko, biurko i szafkę. Matka godzinami otwierała i zamykała półki, jakby nie miała innego zajęcia. Strasznie mnie to drażniło, a nawet niepokoiło, ponieważ wyglądała przy tym jak opóźniona w rozwoju Ala, która w kościele śpiewała tak głośno, że chyba nawet sam pan Bóg ją słyszał.

Ala była rówieśniczką mamy i bawiła się pluszowym kotkiem. Skakała w gumę, grała z nami w berka.

Ma swój świat, lepszy niż ten, w którym żyjemy, powinna być szczęśliwa – mówił ojciec, ale nie wiedział o tym, jak często płakała i to bez powodu. Przychodziła na pastwisko – centrum zabaw dla dzieci i, podciągając pod same piersi spódnicę w kwiatki, siadała na trawie. Przez chwilę patrzyła gdzieś daleko (nie wiem czy na niebo, czy szukała dachów domów sąsiedniej wsi), a potem cicho płakała. Nie pytaliśmy jej dlaczego, bo wiedzieliśmy. Ala nie była szczęśliwa. Czasami uśmiechała się głupio, ale ze szczęściem to nie miało nic wspólnego.

xxx

Wychowałam się w domu z wielkim sadem i przybudówką, w której po lewej stronie był chlew dla dwóch świń, po prawej legowisko krowy Mućki. Nie przypominam sobie kolejek za mięsem i pustych haków u rzeźnika. U nas żadnego takiego sklepu nie było. Za to mieliśmy problem z zakupem mebli i należało oszczędzać papier toaletowy, który niejednokrotnie przyczyniał się do konfliktu pomiędzy rodzicami. Papier bowiem znikał w nieznanych okolicznościach i ani matka nie mogła upilnować ojca, ani on jej.

Pierwszego maja matka wpinała mi w warkoczyki dwie wsuwki z pomponikami. Jeden był czerwony, drugi biały. Musiałam ubrać się w jasną koszulę i dłuższą, plisowaną, granatową spódnicę. Nie znosiłam tego stroju, ponieważ chciałam wyglądać jak Madonna z płyty *Like a Virgin*, którą ciotka Jolki przysłała w paczce z Anglii. Tymczasem wszystkie my - dziewczynki wyglądaliśmy tak samo. Podczas święta w narodowych barwach, w tygodniu w granatowym kitlu.

We wsi każdą krowę nazywano Mućką. Kiedy patrzyłam na krowie czarno-białe tułowia jak przechadzały się główną ulicą w stronę pastwiska, widziałam nas w identycznych mundurkach i było mi bar-

dzo smutno.

Każdego roku majowy pochód miał tę samą trasę. Szliśmy od szkoły, mieszczącej się w wynajętym przez gminę domu rodzinnym, aż na sam koniec wsi. Przy płocie, należącym do pani Jaworskiej, skręcaliśmy w lewo, wychodząc na łąkę, na której znajdował się grób Kostka Jagiełły - żołnierza Armii Ludowej.

Kostka dopadli Niemcy. Uciekł z obozu w Oświęcimiu, ale niestety niedaleko, bo tylko dwanaście kilometrów i zginął rozstrzelany w naszej wysokiej trawie.

Na jego grobie polonistka zapalała znicz, a my śpiewaliśmy hymn szkoły.

Ojciec był pewny, że napis na nagrobku kłamie. Kostek był żołnierzem Armii Krajowej, a to, według ojca, była ogromna różnica. Ludowa walczyła za komunistów, Krajowa przeciwko. Powtarzał to często, abym zapamiętała, a mnie było wszystko jedno.

Armia to armia. Żołnierz to żołnierz. Ma hełm, umie strzelać i trzeba się go bać.

Najbardziej bałam się Niemców, choć minęło ponad czterdzieści lat, od kiedy opuścili wieś. Jednak w opowieściach prababci nadal żyli. Przechadzali się po polach, lasach, odwiedzali domy z karabinami zawieszonymi na ramionach. Żyli więc i dla mnie, najczęściej w snach. Uciekałam polną ścieżką, chowałam się za drzewami, wskakiwałam do rowu. Na nic. Niemcy zawsze mnie znaleźli i rozstrzeliwali, a po przebudzeniu miałam poszczypaną klatkę piersiową.

Gdy zapytałam matki *czy będzie kiedyś wojna?* zapewniła, że żyjemy w czasach pokoju i tak już pozostanie. Nie do końca jej wierzyłam, bo gdyby tak było, to ojciec nie denerwowałby się tak bardzo i nie prosił, abym trzymała język za zębami i nikomu nie mówiła, co myśli o komunistach.

A myślał niemało i czym więcej, tym częściej pił. Matka załamywała ręce, ale cóż mogła zrobić? Taki był porządek. Matki załamywały ręce, a ojcowie pili. Chociaż każdy inaczej. Mój za pieniądze zarobione bokiem, wypłatę przynosił do domu i zawsze wracał, kładąc się w butach na kanapie. Natomiast ojciec Marcina nie wiadomo za co pił, bo wyrzucili go dyscyplinarnie z kopalni i szlajał się, znikając czasami na parę dni. Było mi szkoda Marcina, a kiedy pani dyrektor oskarżyła go o przyniesienie do szkoły wszy, przypomniały mi się słowa ojca. *Komuniści oskarżają ludzi, nie mając ku temu żadnych dowodów.* Nie miałam wątpliwości. Pani dyrektor należała do komunistów i zaczęłam zastanawiać się, kto do nich nie należał, ponieważ ojciec twierdził, że innej opcji w naszym kraju nie ma, ale będzie.

Czekaliśmy zatem na tę nową opcję.

Ojciec - przed telewizorem, matka - prasując chusteczki, ja - marząc o dziesięciu czekoladach.

xxx

Z tymi wszami bałam się wrócić do domu. Poszłam do babci, która mieszkała niedaleko magła. Natychmiast wiedziała, co ma zrobić. Zresztą, babcia wiedziała wszystko. Polała mi włosy śmierdzącą substancją, wygrzebała gnidy i obciąła na chłopca.

Na szczęście odbyło się bez ochrzanu. Ojciec przemilczał sprawę, a matka zażartowała, że koniecznie ma syna. Rzeczywiście, bardzo chciał go mieć. Wybudował dom, z naszym leśnikiem zasadził pół lasu, a chłopaka nie umiał zmajstrować.

W ogóle mu się nie dziwiłam, bo jaki miał ze mnie pożytek? Większość czasu po szkole spędzałam w szafie babci, przebierając się za księżniczkę, bo przecież to było najlepsze życie, jakie można mieć. Księżniczka nie musiała sprzątać w pokoju i jeść duszonej marchewki, a co najważniejsze; kochał ją prawdziwy książę na białym koniu. Bogaty i piękny, może nawet piękniejszy od tych wszystkich sukienek z falbankami i koralami, które, gdy dorosłam, wróciły do mody.

Babcia była artystką i kierowniczką domu ludowego. Jolka zazdrościła mi jej i pewnie nie tylko ona, bo większość babć, będących zazwyczaj około pięćdziesiątki, wybierała się na tamten świat, spędzając każdą wolną chwilę w kościele. Natomiast moja założyła teatr amatorski, w którym wystawiała sztuki z życia wsi. Pisała scenariusze, szyła kostiumy i, na deskach remizy strażackiej, grała najczęściej główną rolę. W skład teatralnej trupy wchodził: zakochany w babci emeryt Fronczek, dwie, brzydkie stare panny: Zosia i Helenka oraz moja matka. Po przedstawieniu ojciec całował matkę w policzek, po czym szybko uciekał, aby nie spotkać się z teściową.

W rodzinnym gronie nigdy nie graliśmy jak w teatrze.

Od kiedym pamiętam babcia nie znosiła ojca, oskarżając go o zmarnowanie życia matce. I nie raz przywoływała świętej pamięci dziadka, który, gdyby żył, z pewnością nie dopuściłby, aby Kasia wyszła za sierotę i z pewnością skończyłaby studia. Natomiast ojciec upierał się, że nikomu życia nie zmarnował, a matkę z tego wszystkiego bolała głowa.

I tak w kółko, jak to dorośli - wciąż kłócili się o to samo.

Najbardziej w tym wszystkim brakowało mi dziadka. Widziałam go tylko na zdjęciu. Był wysoki, przystojny niczym książę i uśmiechał się szeroko. Ale nigdy dla mnie nie wystrugał figurki z drewna, jak dziadek Jolki.

Nie pozostało mi nic innego, niż go sobie wymyślić. Dziadek był marynarzem. Pływał na wielu statkach i odwiedził wszystkie kontynenty. Był również w Anglii i spotkał się z ciotką Jolki, stąd wiadomo, że nie sprzedaje się starszym panom, jak głosiła plotka, którą wytłumaczyła mi babcia, ale pracuje w biurze z ładnym widokiem z okna. Poza tym dziadek, w przeciwieństwie do swojej żony, lubił ojca, bo ten nie był taki straszny, jakby się mogło wydawać. Co prawda czasami przesadził z alkoholem, ale dbał o mnie i matkę. Zabierał na wycieczki rowerowe, albo na grzyby, chociaż akurat na grzybobranie kręciłam nosem, ponieważ musiałam wcześniej wstać.

Zapraszałam dziadka na przedstawienia w remizie. Zawsze przychodził, ale nie siadał na krześle, tylko opierał się o ścianę, niedaleko drzwi i ze łzami w oczach patrzył na matkę przypominającą anioła z długim blond warkoczem. Patrzyłam i ja, to na dziadka, to na scenę, dumając, jaka będę, kiedy dorosnę. Chciałam być piękna jak matka i pisać scenariusze jak babcia, a mój mąż uśmiechałby się szeroko i woził na rowerze.

Wszystko toczyło się bez większych zmian, do czasu, kiedy matka wróciła ze szpitala z braciszkiem, a ojciec z zapartym tchem zaczął śledzić obrady Okrągłego Stołu, komentując: *Wałęsa ma jaja*.

Matka kazała mi go nie słuchać i kategorycznie zabroniła ojcu wyrażać się w ten sposób przy dziecku.

dnia 4 lutego 1994r.).

Adela, dodano 31.05.2015 18:19

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.